

## KAZIMIERZ STOPA

ur. 1923; Rozięcín



Miejsce i czas wydarzeń	Huta, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, dzieciństwo, szkoła, chęć edukacji, praca u rodziny, pasienie krów

### 2. Moim marzeniem było pójście do szkoły

Moim marzeniem było pójście do szkoły. Szkoła była odległa o ponad trzy kilometry. Ale, żeby chodzić do szkoły w Wojśławicach ze wsi Rozięcín, a mieszkałem na jej krańcu, przy granicy z powiatem Hrubieszowskim, a dawną granicą zaboru austriacko-osyjskiego, austriackiego i Królestwa Polskiego po pierwszym rozbiore, to trzeba było mieć dobre buty, odzienie. Nie stać nas na to było. I tak wpadłem na genialny pomysł. W sąsiedniej wsi, rodzinnej wsi mojej matki, mieszkało rodzeństwo mamy - bracia, siostry. I tam była szkoła pięcioklasowa. I tak sobie wykombinowałem, że jeżeli pójdę na wieś Hutę, do swojej cici, Seweryny Psiuk, zamożnej gospodyni, i będę u niej pasł krowy, to będę mógł ukończyć na Hucie piątą klasę szkoły podstawowej, może też coś zarobię przy okazji i uda mi się już do szóstej klasy pójść do Wojśławic. Mama była przeciwna temu, byliśmy biedni, ale ten kawałek chleba własny był, nie musiałem go szukać u bogatych krewnych. Ale ta przemożna chęć nauki była wyznacznikiem moich przemyśleń. No i poszedłem. Ponieważ rygorystycznie wieś przestrzegała pewnych formuł, pewnych uwarunkowań związanych z zatrudnieniem, więc musiałem się stawić u cici 1 stycznia 1934 roku, i tam rozpocząłem tę służbę najmity, bo tak to można nazwać. Zszedłem do rzędu tych najlichszych mieszkańców wsi, bo tak, jak mówił kiedyś mój ojciec, a zapamiętałem jego słowa, że to jest najniższa kategoria mieszkańca wioski - pastuch, który najpierw pasie krowy ojca, a jak się zestarzeje, to później pasie krowy syna i jest traktowany jak pastuch, jak najmita. I to odczułem na własnej skórze we wsi, gdzie tak mnie potraktowano. Ciocia była sprawiedliwa, ale dość szorstka, ale takim egzekutorem w stosunku do moich obowiązków, to była jej córka, moja cioteczna siostra, dziewczyna kaleka, utykająca na nogę i chyba z tego względu złośliwa, agresywna. Więc pasłem cztery krowy i ciele. W niedzielę i święta na tak zwanym wygonie, czyli pastwisku gromadzkim. I jeszcze konie. Chodziłem do szkoły, no i traktowany byłem, jak ten

pastuch. No i to obojętne, że w sąsiedniej ławce siedział mój brat wujeczny, syn wujka, a po drugiej stronie cioteczna siostra, córka jednego z najbogatszych gospodarzy. Ale zarówno nauczyciel, jak i wychowawczynie klasy, jak i koleżanki i koledzy, traktowali mnie jednoznacznie –ot, pastuch. Było niewymownie ciężko i trudno się było zaadoptować w środowisku, bądź co bądź obcym dla mnie. Stałem się też przedmiotem złośliwych igraszek, tak to mogę nazwać, ze strony pastuchów. Pewnej niedzieli, gdyśmy paśli krowy na tym wygonie, grupa chłopców grała w tak zwanego „noża” Polegało to na tym, że scyzoryk, kozik, odpowiednio ustawiany, ostrzem rzucały na trawę wbijały się. I jeżeli upadł na płask, to przegrywał ten grający, a grał następny. Były jakieś z tego fanty, ja już nie pamiętam dokładnie, jak to wyglądało. Z zajęciem przyglądałem się tej grze, ale ponieważ byłem najmłodszy, najśłabszy i obcy, to nie bardzo mnie do tej gry dopuszczano, natomiast żądano, żebym odpędzał bydło od pól, od zagonów, żeby nie czyniły krowy czy konie szkody. I ja tam za chwilę znów wracałam, przyglądałem się, i jeden ze starszych, taki osiłek już szesnasto–iedemnastoletni, nazywał się Gołębiowski Edward, zwraca się do mnie i mówi: „Kaziu, zawołaj do nas tego chłopca, który tam w oddali pasie trzy krowy, żeby się przyłączył do gry. Nazywa się Jacek, zawołaj” Odszedłem od tej gromady, zwinąłem dłoń w trąbkę i wołam: „Jacku! Jacku! Chodź do nas! Wołają tu ciebie do gry. On popatrzył na mnie, a po chwili te krowy zawróciły i pędzi w naszą stronę. A ja się nachyliłem i gapię się na tych grających. I w pewnym momencie z tego mojego zafascynowania grą, budzi mnie potężny kopniak z tyłu, tak że wpadłem twarzą na tą grającą gromadkę. I zaczął mnie bić. Bezlitośnie, z zaciekłością. Nie wiedziałem dlaczego. A ta gawiedź najpierw chichotała, a później już w końcu przerażona patrzyła, a on mnie bił. I przypadkowo idący, starszy człowiek, położył kres temu maltretowaniu. I co się okazało? Że pewna część tej wioski była przezywana „Jacki” On należał do tej części wioski i w mniemaniu mieszkańców, była to obelga - wołanie kogoś „Jacek”czy „Jacki” I ten starszy chłopiec mnie podpuścił, żebym ja tak się zwrócił do tego chłopca. Ten, który mnie bił, nazywał się Stanisław Bednarczuk, starszy ode mnie o trzy lata chyba, dobrze zbudowany. Dziś trudno te rzeczy zrozumieć, ale sieroctwo na wsi było rzeczą okrutną, a jeszcze najmota... ludzie byli niesprawiedliwi. Od taki obrazek, który to dziś budzi we mnie żal i jak najgorsze wspomnienia.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2006-03-06, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Tomasz Czajkowski
<b>Redakcja</b>	Mateusz Czekał
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"